

JOSEPH CONRAD

PLACÓWKA
POSTĘPU

Joseph Conrad

Placówka postępu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23528898

Placówka postępu:

Аннотация

Placówka postępu Josepha Conrada to opowiadanie, które może być postrzegane jako mniej udany pierwowzór Jądra ciemności. Pierwowzór nie pod względem fabuły, lecz ogólnego założenia o destrukcyjnym wpływie mentalności kolonialnej na moralność. Opowiadanie traktuje o dwóch białych, uosabiających mieszczańską przeciętność, przebywających w placówce handlowej w głębi Afryki. Ich jedynym zadaniem jest pobieranie od miejscowych plemion kości słoniowej. Sytuacja komplikuje się, gdy jeden z ich podwładnych uznaje, że więcej tego materiału można pozyskać, handlując żywym towarem. Europejczycy, stając wobec faktu dokonanego, reagują w pierw oburzeniem. Cała sytuacja uruchamia w nich jednak emocje, które w końcu doprowadzają do morderstwa i samobójstwa.

Содержание

I	4
Конец ознакомительного фрагмента.	14

Joseph Conrad

Placówka postępu

I

Zarząd stacji handlowej powierzono dwom białym. Kayerts, naczelnik, był krępy¹ i tłusty; Carrier, jego pomocnik, odznaczał się wysokim wzrostem, wielką głową i bardzo szerokim korpusem, osadzonym na długich, cienkich nogach. Trzecim człowiekiem należącym do zarządu był Murzyn z Sierra Leone, który utrzymywał, że jego nazwisko brzmi Henry Price. Atoli – z jakiejś tam przyczyny – krajowcy znad dolnej rzeki nazywali go Makolą, a imię to przyłgnęło do niego w ciągu wszystkich wędrówek po okolicy. Mówił po angielsku i po francusku ze świegotliwym akcentem, miał piękny charakter pisma, znał się na prowadzeniu ksiąg i w najskrytszej głębi serca żywił kult dla złych duchów. Żona jego, Murzynka bardzo wielka i bardzo hałaśliwa, pochodziła z Loandy. Troje dzieci tarzało się w słońcu przed drzwiami niskiego domku Makoli, przypominającego szopę.

Milczący, nieprzenikniony Murzyn lekceważył obu białych. Miał nadzór nad małym składem z gliny pokrytym strzechą z suchych traw i udawał, że prowadzi dokładny spis paciorków,

¹ *krępy* – niski i mocno zbudowany. [przypis edytorski]

bawełnianych tkanin, czerwonych chustek, miedzianego drutu oraz innych towarów tam złożonych. Oprócz domku Makoli i składu znajdował się na polance stacyjnej tylko jeden większy dom. Zbudowany był porządnie z trzciny i miał ze wszystkich czterech stron werandę. Składał się z trzech pokoi. Środkowy służył za salon; stały tam dwa proste stoły i kilka krzeseł. W dwóch pozostałych były sypialnie białych. Łóżko z siatką od moskitów służyło w każdej z nich za całe umeblowanie. Podłoga z desek usłana była przedmiotami używanymi przez białych; leżały tam otwarte puszki na wpół opróżnione, podarte odzienie, stare obuwie: wszelkie rzeczy brudne i wszelkie rzeczy połamane, które gromadzą się tajemniczo naokoło nieporządnym ludzi. Było tam jeszcze jedno mieszkanie niedaleko od zabudowań. W tym mieszkaniu, pod wysokim krzyżem odchylonym znacznie od pozycji prostopadłej, spoczywał człowiek, który patrzył na początki tego wszystkiego; który zaprojektował placówkę postępu i kierował jej budową. W swym kraju był chybionym malarzem; zmęczywszy się pościgiem za sławą – i to pościgiem o pustym żołądku – przybył tutaj, poparty wysokimi protekcjami. Był pierwszym dyrektorem stacji. Makola pielęgnował w chorobie dzielnego artystę, który umarł na febrę w świeżo ukończonym domu. Murzyn odniósł się do tego faktu ze zwykłą sobie obojętnością wyrażającą się w zdaniu: – Wiedziałem, że tak będzie. – Po śmierci malarza mieszkał czas jakiś na stacji sam ze swoją rodziną, księgami rachunkowymi i Złym Duchem,

który sprawuje rządy w krajach leżących pod równikiem.

Makola umiał doskonale radzić sobie ze swoim bogiem. Może przebłagał go obietnicą, że z czasem dostarczy mu do zabawy więcej białych ludzi. W każdym razie dyrektor **Wielkiej Spółki Handlowej**, który zjawił się na parowcu przypominającym olbrzymie pudełko od sardynek z umieszczoną na wierzchu szopą o płaskim dachu – znalazł stację w porządku, a Makolę pracującego jak zwykle z pilnością i spokojem; kazał postawić krzyż na grobie pierwszego agenta i naznaczył Kayertsa na jego miejsce. Carlier został mianowany zastępcą. Dyrektor był człowiekiem zdolnym i bezwzględny; pozwalał sobie niekiedy – ale bardzo dyskretnie – na ponure żarty. Wygłosił mowę do Kayertsa i Carliera, rozwodząc się nad korzystnym położeniem stacji. Najbliższy punkt handlowy oddalony był mniej więcej o trzysta mil. To wprost wyjątkowa okazja, aby się odznaczyć i mieć znaczny dochód z procentów od obrotów handlowych. Osadzenie obu agentów na tym stanowisku przedstawił jako łaskę wyświadczoną początkującym urzędnikom. Kayerts wzruszył się prawie do łez dobrocią zwierzchnika. Zaznaczył w odpowiedzi, że będzie usiłował uzasadnić swoim postępowaniem położoną w nim ufność i tak dalej, i tak dalej. Kayerts służył przedtem w administracji telegrafów i umiał się poprawnie wyrażać. Carlier, były podoficer kawaleryjski w armii, której bezpieczeństwo gwarantowało kilka mocarstw europejskich, przejął się znacznie mniej mową dyrektora. – Jeśli możemy

liczyć na prowizję, to wcale² nieźle – pomyślał. Objął chmurnym spojrzeniem rzekę, lasy i nieprzenikniony gąszcz odcinający stację od pozostałego świata – i mruknął pod nosem: – Zobaczymy.

Nazajutrz parowiec podobny do pudełka od sardynek wyrzucił na brzeg kilka pak z bawełnianymi towarami i zapasem żywności, po czym odpłynął, aby wrócić znów za pół roku. Stojący na pokładzie dyrektor podniósł rękę do czapki w odpowiedzi na ukłony obu agentów – którzy stali na wybrzeżu, powiewając kapeluszami – i rzekł do starego urzędnika Spółki udającego się do głównej kwatery:

– Popatrz no pan na tych dwóch durniów. Chyba powariowali tam, w kraju, żeby przysłać mi takie okazy. Powiedziałem im, że mają założyć ogród warzywny, zbudować nowe składy, płoty i molo. Założę się, że nic z tego nie będzie zrobione. Nie potrafią nawet zabrać się do roboty. Byłem zawsze zdania, że stacja nad tą rzeką jest zupełnie bezużyteczna, a oni obaj świetnie się do tej stacji nadają.

– Wyrobiją się – rzekł stary wyga ze spokojnym uśmiechem.

– W każdym razie pozbyłem się ich na sześć miesięcy – odparł dyrektor.

Obaj agenci ścigali wzrokiem parowiec, póki nie znikł za zakrętem, po czym wzięwszy się pod ramię wdrapali się na stromy brzeg i wrócili na stację. Przebywali od niedawna w tym kraju rozległym i niezbadanym, znajdując się ciągle

² *wcale* (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

wśród białych, pod okiem i przewodnictwem zwierzchników. A teraz – ponieważ ich tępe dusze nie ulegały subtelnym wpływom otoczenia – poczuli się bardzo samotni znalazłszy się nagle w bezpośrednim zetknięciu z dziczą – która wydawała się jeszcze dziwniejsza i bardziej niezrozumiała wskutek tajemniczych przejawów bujnego życia. Kayerts i Carlier byli okazami ludzi idealnie bezbarwnych i niedołącznych; istnienie ich umożliwiał tylko wysoki poziom organizacji właściwej tłumom cywilizowanym. Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że ich życie, istota ich charakteru, zdolności ich i zuchwalstwa wypływają tylko z wiary w bezpieczeństwo otoczenia. Odwaga, spokój, zaufanie; uczucia i zasady; wszystkie wielkie i wszystkie błahe myśli należą nie do jednostki, lecz do tłumu: do tłumu, który wierzy ślepo w niewzruszoną siłę swych instytucji i swej moralności, w potęgę swej policji i swej opinii. Ale zetknięcie się z nagą, nieokiełznaną dziczą, z pierwotną naturą i pierwotnym człowiekiem wzbudza w sercu nagły i głęboki niepokój. Poczucie, że się jest jednym jedynym ze swej rasy; jasne uświadomienie sobie samotności swych myśli, swych wrażeń, zaprzeczenie tego, co jest zwykłe, co jest pewne – wszystko to łączy się ze stwierdzeniem niezwykłości, która jest groźna, z odczuciem rzeczy niewyraźnych, nieuchwytnych i odrażających, których niepokojące wtargnięcie podnieca wyobraźnię i wstrząsa nerwami zarówno głupich, jak i mądrych ludzi.

Kayerts i Carlier szli trzymając się pod rękę i tuląc się do siebie jak dzieci w ciemnościach – i obaj mieli jednakowe, nawet

niekoniecznie przykre wyczucie niebezpieczeństwa, które uważa się raczej za wytwór wyobraźni. Gawędzili poufale i bez przerwy.

– Nasza stacja jest ładnie położona – odezwał się jeden. Drugi potwierdził to z zapalem, rozwodząc się obszernie nad pięknością okolicy. Przechodzili właśnie obok grobu:

– Biedaczysko! – odezwał się Kayerts.

– Umarł na febrę, prawda? – mruknął Carlier i przystanął.

– Jakże nie miał umrzeć – odparł Kayerts z oburzeniem – mówiono mi, że lekkomyślnie włączył się po słońcu. Każdy przyzna, że tutejszy klimat wcale nie jest gorszy od naszego, tylko trzeba wystrzegać się słońca. Słyszysz, Carlier? Ja jestem tutaj panem i rozkazuję ci, abyś się nie włączył po słońcu!

Przybrał żartobliwy ton zwierzchnika, ale w gruncie rzeczy mówił poważnie. Myśl, że mógłby pochować Carliera i pozostać samotny, przejmowała go dreszczem. Poczł nagle, że ten Carlier bliższy mu jest tutaj, w środku Afryki, niż rodzony brat w innych okolicznościach. Carlier, wpadając w ten sam ton, zsalutował i odparł rzeško:

– Rozkaz pana będzie wykonany, panie naczelniku! – Roześmiał się, poklepał Kayertsza po ramieniu i zawołał: – Dobrze się nam będzie działo! Mamy tylko siedzieć na miejscu i zbierać kość słoniową, którą te dzikusy będą nam przynosiły. W gruncie rzeczy ten kraj ma swoje dobre strony!

Wybuchnęli obaj głośnym śmiechem, a Carlier pomyślał:

– Biedny ten Kayerts; taki jest tłusty i nietęgo się czuje. To by było straszne, gdybym go musiał tu pochować. Mam dla

niego dużo szacunku... – Nim jeszcze znaleźli się na werandzie, mówili jeden do drugiego „mój kochany”.

Pierwszego dnia byli bardzo czynni; kręcili się po całym domu z młotkami, gwoździami i czerwonym perkalem, zawieszając firanki i w ogóle usiłując nadać domowi wygląd miły i przytulny, postanowili urządzić sobie wygodnie nowe życie. Ale to zadanie było ponad ich siły. Skuteczna walka z trudnościami nawet czysto materialnej natury wymaga więcej pogody ducha i wzniosłej odwagi, niż ludzie na ogół przypuszczają. Niepodobna³ było wyobrazić sobie osobników gorzej do takiej walki przygotowanych. Społeczeństwo, które wzięło pod opiekę tych dwóch ludzi – bynajmniej nie przez troskliwość, lecz wskutek osobliwych swych potrzeb – zakazało im wszelkiej niezależnej myśli, wszelkiej inicjatywy, wszelkiego odchylenia od rutyny; i to pod karą śmierci. Mogli żyć tylko pod warunkiem, że staną się automatami. A teraz – uwolnieni od opieki ludzi z piórem zatkniętym za ucho czy też ludzi z galonem⁴ na rękawie, byli jak ci dożywotni więźniowie oswobodzeni po wielu latach, którzy nie wiedzą, co robić z wolnością. Nie wiedzieli, jaki użytek zrobić ze swoich uzdolnień, ponieważ obaj dla⁵ braku wprawy – nie umieli powziąć ani jednej niezależnej myśli.

Po upływie dwóch miesięcy Kayerts odzywał się często:

³ *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

⁴ *galon* – naszywka na mundurze wykonana ze srebrnej lub złotej taśmy. [przypis edytorski]

⁵ *dla* (daw.) – z powodu. [przypis edytorski]

– Nie zobaczylibyście mnie tu nigdy, gdyby nie moja Melie.
– Melie była to jego córka. Chcąc zarobić na posag dla dziewczyny, rzucił posadę w administracji telegrafów, choć przez siedemnaście lat czuł się tam idealnie szczęśliwy. Żonę stracił już dawno, a wychowaniem dziecka zajmowały się jego siostry. Żałował ulic rodzinnego miasta, bruków, kawiarni, długoletnich przyjaciół: wszystkich rzeczy, na które patrzył dzień po dniu; wszystkich myśli nasuwanych przez znane przedmioty – łatwych, jednostajnych i spokojnych myśli państwowego urzędnika; żałował plotek, małostkowych zadrażeń, łagodnego jadu i kawałów, które składają się na atmosferę biur rządowych. Carlier oświadczał ze swej strony: – Gdybym miał za szwagra człowieka porządnego, człowieka z sercem – nigdy bym się tu nie znalazł. – Carlier porzucił służbę w wojsku i tak się naprzykrzał rodzinie przez lenistwo i natrętą beczelność, że szwagier jego doprowadzony do ostateczności uczynił nadludzkie wysiłki, aby umieścić go w **Spółce** jako drugorzędnego agenta. Nie posiadając ani jednego pensa, Carlier musiał się zgodzić na tę posadę, z chwilą gdy zrozumiał jasno, że niczego więcej nie zdoła wycisnąć z krewnych. Podobnie jak i Kayerts żałował dawnego życia. Żałował podźwięku szabli i ostróg, spacerów w piękne popołudnia, koszarowych dowcipów, dziewcząt z miast, gdzie stali garnizonem; ale poza tym wszystkim żywił jeszcze żal do świata. Był oczywiście ofiarą krzywd i niesprawiedliwości. Z tego powodu zasepiał się czasem. Lecz obaj mężczyźni harmonizowali ze sobą doskonale, złączeni

wspólną głupotą i lenistwem. Nie robili nic, ale to nic dosłownie i rozkoszowali się swoją beczynnością, za którą im płacono. Z czasem rozwinęło się w nich obu coś na kształt wzajemnego przywiązania.

Żyli niby ślepcy w wielkim pokoju, zdając sobie sprawę, i to niedokładnie – tylko z rzeczy, z którymi się stykali – lecz niezdolni byli absolutnie do ogarnięcia całokształtu zjawisk. Rzeka, las i rozległy kraj tętniący życiem, wszystko to przedstawiało dla nich wielką pustkę. Nawet jaskrawy blask słońca nie rozświetlał niepojętych zjawisk, które przesuwały się przed ich oczyma bez żadnego związku ani też celu. Rzeka zdawała się wypływać znikąd i nigdzie nie dążyć. Płynęła przez próżnię. Z tej próżni wyłaniały się niekiedy łódki i ludzie z włóczyniami zalegali tłumnie dziedziniec stacji. Byli nadzy, połyskliwie czarni i zbudowani nieskazitelnie, zdobiły ich śnieżne muszle i błyskotki z miedzianego drutu. Głosy zlewały się w gwar dziwaczny i świegotliwy, ruchy mieli dostojne, a oczy ich – zalęknione i nieznające spoczynku – rzucały szybkie, dzikie spojrzenia. Siedzieli na piętach przed werandą w pięć albo i więcej długich rzędów, podczas gdy ich wodzowie targowali się godzinami z Makolą o kiel słońca. Kayerts siedział na krześle i spoglądał z góry na te poczynania, nic zgoła nie rozumiejąc. Wytrzeszczał na nich okrągłe niebieskie oczy i wołał do Carliera:

– Popatrz no – o tam! Widzisz tego draba i tego drugiego z lewej strony. Widziałeś ty kiedy taką twarz? Ach, cóż za śmieszna bestia!

Carlier, pykając z krótkiej drewnianej fajki napchanej krajowym tytoniem, zbliżał się zawadiackimi krokami, podkręcał wąsa i ogarniał wojowników spojrzeniem wyniosłym a pobłażliwym.

– W samą porę. – Piękne zwierzęta – oświadczał. – Przynieśli trochę gnatów, co? Popatrz no na muskuły tego draba – trzeciego z rzędu. Nie miałbym ochoty dostać od niego pięścią w nos. Ramiona ma piękne, ale nogi od kolan w dół – do niczego. To żaden materiał na kawalerzystę. – I spoglądał przychylnie na własne piszczele, konkludując niezmiennie: – Brr, jak oni śmierdzą! Ty, Makola, zabierz to stado do fetysza (na każdej stacji nazywano skład fetyszem, może ze względu na gnieźdzącego się w nim ducha cywilizacji) i daj im trochę tego śmiecia, które tam trzymasz. Wolałbym, żeby skład był pełen kości słoniowej niż tych gałganów.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.